

to była potworna zbrodnia

Rosja, kraj rozległy, piękny, bogaty. Przepływa przez jego obszary największa rzeka Europy - Wołga. Rosja to ojczyzna Puszkina, Tolstoja, Lermontowa, Ochmatowej. Rządzili nią dumni bojarowie. Carami byli ludzie mądrzy, ale bywali i okrutni, jak car Iwan Groźny. W ohydzie zbrodni i zakłamania przewyższał tego cara prawie współczesny nam Josif Wissarionowicz - Stalin. W dążeniu opanowania Europy i świata człowiek - demon wprowadził we własnym kraju niespotykany w dziejach ludzkości terror. Ludzie żyli pod strachem i w ucisku. Umierali z głodu i zimna. Satrapa ten szczególnie nienawiścią darzył Polaków.

Kiedy w 1920 roku zagony wojsk Budionnego i Tucho-

zgięła”. Śpiewają tak pięknie jak chór Aleksandrowa, który występował 10 października w Słupsku. Ich śpiew to tęsknota dobrej, szlachetnej rosyjskiej duszy. Piękne głosy, piękna postawa solistów, którzy zostali entuzjastycznie przyjęci przez publiczność. Brawa i powtarzanie słów pieśni nie miało końca. W gestach wykonawców przejawiał się szacunek dla publiczności.

Z sentymentem słuchałam pieśni, które znam z lat młodości. Tak sobie myślę, co ma polityka do kultury. Żywe, pulsujące piękno zwycięża zło. W narodzie rosyjskim drzemą ogromne pokłady dobra. Urok tych pieśni to blask słońca, które rozświetliło szarą rzeczywistość.

Zbliża się Wszystkich Świętych, z okazji emisji filmu nie zapomnijmy o ludziach, którzy przeżyli Golgotę Wschodu. Pamiętajmy o śp. księdzu Zdzisławie Peszkowskim - o ostatnim człowieku, który widział swych kolegów w Katyniu żywych. Bo jego wysiłki nie poszły na marne. Całe życie walczył, aby ta straszna zbrodnia nie odeszła w zapomnienie.

Współczesny czas, czas konsumpcji, walki o byt nie pozwala obejrzeć się w przeszłość. Ktoś bardzo mądry powiedział, że naród, który zapomina o swej przeszłości, ginie. Dlatego chwala ks. Zdzisławowi Peszkowskiemu, biskupowi Jeżowi, który przeżył hitlerowską gehennę. Cześć bezimiennym bohaterom, dzięki nim nasz świat jest lepszy i szlachetniejszy.

O tym, że żyli, cierpieli świadczy piosenka Krajewskiego: „Tam na polu biały krzyż./nie pamięta już kto pod nim śpi...” Takich białych krzyży w polskich lasach, mimo upływu lat, jest bardzo wiele. Zapalmy tym bohaterskim, bezimiennym, małe światełko nadziei. Różne są ludzkie losy, może i o nas śmiertelnych Dobry Bóg nie zapomni.

**Emilia Zimnicka
Izbica**



Jak oprawcy mogliby spojrzeć w oczy swoim ofiarom? „Jako i my odpuszczamy” - mówili przed śmiercią umęczeni Polacy. Odpuścić tak, ale czy normalny człowiek może obojętnie zapomnieć o tej ohydzie i wynaturzeniu?

czewskiego zagroziły drogę do opanowania Europy jego nienawiść dosięgła zenitu. Okazja nadarzyła się w 1939 roku, kiedy to hordy Hitlera napadły na Polskę. W wyniku paktu Ribentrop - Molotow, wojska bolszewickie 17 września zadały Polsce cios. Rozpoczęły się zsyłki na Sybir. Żołnierzy i kwiat polskiej inteligencji spotkał straszny los. W marcu 1940 roku w bestialski sposób wymordowano 20 tysięcy oficerów. Wymordowano jeńców wojennych bez sądu, strzałem z bliska w tył głowy. Oprawcy do dziś pozostali bezkarni.

Andrzej Wajda, wybitny polski reżyser odtworzył w filmie „Katyń” obraz tych ponurych czasów. Byłam na tym filmie w słupskim kinie „Milenium”. W czasie projekcji panowała cisza. Nieme oburzenie, gniew i można było dostrzec tży w oczach. Niektórzy ludzie starsi pamiętali tamte straszne dni. Byli wywiezieni do pracy w tajdze, do kołchozów, do Kazachstanu. Wymowne milczenie, zaduma - to oddanie szacunku tym wspaniałym ludziom, tak szlachetnym w swej bezsilności. - Zostaną po nas guziki - powiedział proroczko jeden z oficerów. Prawda była taka, że w grobach pozostały różańce, notatki, listy, grzebienie, zegarki i przerażający ogrom przestrelonych czaszek.

W kатыńskim lesie o tej porze była cisza, pachniały sny, kiedy buldożer rył ogromną zbiorową mogiłę... Dziś chodzą sobie pewnie nasi piękni panowie oficerowie po zielonych rąskich łąkach i śpiewają Panu Niebios. „Jeszcze Polska nie

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

NA PAMIĄTKĘ

*Już złocą się
Lampiony pamięci
Tulą ramiona tui
Kotyłsanek nucą motyle*

*Szeptają usta modlitwę
Świece mrugają zalotnie
Wiatr kryje swe dłonie
Ze wstydem
Chowa połamaną różę*

*Dłoń poprawia wiązanki wstążkę
Delikatnie jakby poduszkę*

*Łza obudziła anioła
Spojrzenie rozścielił błękitne*

*Śpij ma miła
Śpij miły*

Życie śle całus na pamiątkę...

„Katyń”

– film ważny i potrzebny



Kocham polskie filmy, reżyserów i aktorów, a po obejrzeniu filmu „Katyń” A. Wajdy dochodzę do wniosku, że to dobra miłość, najlepsza lokalizacja mych uczuć. A kino jest jednym z wielu, dobrym sposobem by pokazać, poruszyć ważne tematy i skłonić do dyskusji.

Z kilku powodów nie udało mi się wspólnie z przyjaciółmi pójść do kina na film „Katyń” Andrzeja Wajdy. W piątek, 21 września poszłam sama. Ponieważ seans był pierwszym z emitowanych w tym dniu, o wczesnej porze, dlatego widzów była garstka, ok. 20 osób (na dwa późniejsze komplety). Sytuacja komfortowa. Pierwsze kadry filmu i już tży na moich policzkach... Następne minuty oczami, uszami, całą sobą próbuję pochłonąć każdą scenę. To film o tragedii, rozpacz, bezsilności, rozstaniu i wielu innych emocjach, uczuciach. Jest jeszcze patriotyzm, olbrzymi, prawdziwy! Prym jednak wiodą kłamstwo i obtuda. Jest to opowieść o polskich oficerach pomordowanych podczas II wojny światowej przez NKWD, w Katyniu. Tragiczny obraz żon, matek, sióstr nieświadomych zbrodni dokonanej na swoich mężach, ojcach, synach i braciach. Film ten pokazuje prawdę i rozlicza kłamstwa. Oby jak największa grupa młodych ludzi go zobaczyła! To w nich cała nadzieja, aby pamięć bohaterów tamtej tragedii przetrwała wbrew zamierzeniom morderców!

Pisząc „piękny film” mam na myśli smak, wyzucie. Ale, czemu tu się dziwić? Przecież to nie, kto inny, a sam mistrz A. Wajda film ten nakręcił. Aktorzy, główni bohaterowie, to same gwiazdy. Każdy to istna perełka, co błyszczą urodą, talentem. W tej historii widz zapomina o twarzach znanych z telewizji, czasopism, widzi ludzi żyjących, walczących podczas wojny, cierpiących przez wiele lat po niej.

Film zawiera wiele scen rozdzierających serce. Wywarł na mnie ogromne wrażenie, pobudził olbrzymią dawkę uczuć: złości, żalu, współczucia, miłości, niezrozumienia czy też zrozumienia wielu sytuacji. Wstrząsnął tak, iż po zakończeniu projekcji nikt nie śmiał odezwać się, ani wstać z miejsca. Wszyscy zgodnie, w niewypowiedzianej ciszy, przesiadzieli kilka minut. Spontanicznie i w niemy porozumieniu. Dopiero po jakimś czasie, na świeżym powietrzu, słychać było płacz, szepcąc wypowiedziane pierwsze komentarze... „Katyń” to film do oglądania nie na kolanach, a na baczność! Płakała cała widownia. To bardzo ważny film

i potrzebny.

Wracając do domu, nie przecięłam tego niesamowitego klimatu, nie włączyłam radia jak zwykle w podróży, tylko wracałam w milczeniu, pełna obrazów i słów z ekranu. Swoje wrażenia opowiedziałam mojemu 14-letniemu synowi, mając nadzieję, że i on zobaczy ten film.

Aldona Magdalena Peplińska, Motarzyno



pomilczmy razem

Szczęśliwy ten, kto spotyka na swej drodze życia ludzi mądrych, wykształconych, zacnych, umiejących wstuchać się w inne głosy. Jest ich wielu. I to dobrze.



przerodziło się w przyjaźń. Wszechstronne Jego zainteresowania, jak również wrażliwość na słowa, spowodowały chęć poznania mego ojca. Pojechaliśmy do Białych Błot pod Bydgoszczą, gdzie dogasały ostatnie dni Jego życia. Pobyt był krótki, kilkugodzinny. Rozmawiali. Mam ich historyczną rozmowę w nagraniu.

Nie wiem czy tam, w tym Ich lepszym świecie, dialogują nadal. Domyślam się, że chyba tak. Przecież „fluidy” to dusze, a one już tam są. A z Krzysiem często korespondowałem. Tradycyjnie. Listy były obszerne, w jednym z nich pisał: „Spotkania z twoim ojcem nigdy nie zapomnę.” I dalej: „Długo trzeba się wpatrywać w prawdę, aby zobaczyć jej piękno. Modłę się za Jego duszę”.

Kiedyś mi napisał: „Zawsze pociągała mnie gra Kumplowego Bogactwa”..., „Coś mnie w nim fascynowało...”, „Dociękałem, dlaczego i znalazłem odpowiedź: jego ojciec to chirurg, on sam znał się na antykach, czytał klasykę, słuchał klasykę, pasjonował się historią, nauką społeczną. Skromny i taktowny, był sobą, był kimś – i to fascynowało”.

Krzysztof Włodek opuścił Słupsk by opiekować się chorą matką w Poznaniu. Nie zdążył wezwać pomocy. Zmarł nagle ze słuchawką telefoniczną w ręku. W jednym z ostatnich listów zdążył mi przestać wiersz swego kolegi leśnika, Zenona Jarostawskiego (spod Radomia).

Modlitwa

*Ty jesteś Panie jako Duch Wszchemocny
Przebijasz ciemności złych zamiarów nocy
Pozwalasz się wielbić każdemu stworzeniu
A nie dajesz się oglądać ku zdziwieniu memu
Widzę Cię o Panie w każdym listku brzozy
W kwiecie pełnego maku, morskiej mimozy
W wielkości potęgi granitowej skały
I w każdym człowieku choć jest taki mały
I dlaczego o mój Wielki Boże
Żaden rozum ludzki pojąć Cię nie może
Przelej choć cząstkę Twej mądrości na mnie
Bym mógł Cię rozpoznać w Twej Niebieskiej Bramie
I chwała nad chwały niechaj Cię ogarnie
A dusza ma biedna niech nie zginie mamie.*

Kolego, Zygmuncie Janku Prusiński jest nas więcej i więcej (przyp. „Gdybym przeszedł”, „Wieś Tworząca” Nr 8-9). Usta milczą nie tylko na usteckiej nekropolii. Pomilczmy w zadumie.

Piotr Grygiel, Jasień

S tatystycznie, w większej grupie mamy szansę spotkania „pokrewnych dusz”, ludzi ciekawych o wiele większą niż w pojedynkę. Lepiej się zauważyć. Niektórzy mówią: „Na tle innych pani, pan się wyróżnia”, bądź „panią, pana zapamiętałem”. Są to chwile krótkie bądź długie. Nieważne. Ważne, że zadziały tzw. „fluidy”.

W tym roku mija piętnaście lat od śmierci mego kochanego ojca, Antoniego. Należał do tych, obdarzonych ową „głębią wewnętrzną”, a jednocześnie niezwykle ekspansywnych zewnątrz. Urodzony jeszcze w XIX wieku, kiedy z mego świata wykreślono Polskę, wśród 12-ściorga rodzeństwa, w biednej wiejskiej rodzinie. Mając 18 lat, przywdziewając mundur, wywędrował w nieznaną, często nieprzyjazną środowisko, by walczyć o wolność i niepodległość. W „Gońcu Wielkopolskim” strona tytułowa zaczynała się jego wierszem: „Roku nasz, o Roku Nowy, jaki Twój herb i odzew bojowy”...(1918/1919).

Kiedy wrócił po latach żołnierskiej tułaczki nie zastał już w domu rodzinnym swojej ukochanej matki, ojca i części rodzeństwa. Poszedł wtedy do swego kościołka (był tam ministrantem) odmówić po polsku pacierz za zmarłych i żywych (na kościele tym w miejscowości Wałków jest wmurowana tabliczka poświęcona i Jemu).

Kiedy już ja tak przy nim urastałem, odczuwałem bliskość ojcowską i tę delikatną różnicę 49 lat, a jednocześnie coś, co w późniejszych latach odbieramy jako pewien wyróżnik, ową magiczną siłę oddziaływania, coś więcej niż ojcostwo. To było wówczas zauważalne, ale dzisiaj jest lepiej zrozumiane. Im człowiek skromniejszy i życzliwszy ludziom, tym większa siła jego oddziaływania. I większe bogactwo przeżyć. Nierzadko słyszałem słowa wypowiedziane przez mego śp. ojca: „Jesteśmy pod wrażeniem osobowości pana Ojca”.

Również w tym roku mija 5-ta rocznica śmierci śp. dr inż. Krzysztofa Włodka, byłego wykładowcy słupskiej WSP, wojewódzkiego konserwatora przyrody, leśnika, autora wielu publikacji o zwierzętach drapieżnych (w tym na Pomorzu), m.in. ostatniej książki „Wilki w Polsce”. Poznałem Go w owej zbiorowości osób. „Fluidy” zagrały. Przypadkowe spotkanie

Łzy same cisną się spod powieki

Chcę ukazać los jednej z tych szkół. W 1955 roku przyjechałam z Gór Świętokrzyskich do pracy w województwie koszalińskim. W rękę trzymałam nakaz pracy. Skierowano mnie i mojego męża do szkoły w Karsinie (12 km od Darłowa). Była to szkoła pięcioklasowa z dwoma nauczycielami, dwiema izbami lekcyjnymi, szatnią, małą kancelarią i korytarzem. Po dwóch latach stopień organizacji szkoły został podniesiony do siedmiu klas, a następnie do ośmiu. Ponieważ uczyliśmy dzieci w trzech nietypowych budynkach, zapadła decyzja Inspektoratu Oświaty w Sławnie o rozbudowie budynku głów-

przez lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte intensywnie pracowaliśmy zespół taneczny. Zawsze braliśmy udział w Powiatowych Eliminacjach Zespołów Tanecznych w Sławnie (na akordeonie grał kierownik, Edmund), zdobywając czołowe miejsca. A w 1962 roku zajęliśmy I miejsce w Wojewódzkich Eliminacjach Wiejskich Zespołów Tanecznych w Słupsku.

Prężna praca nauczycieli i dzieci pozwoliła uczniom zajmować czołowe miejsca w olimpiadach przedmiotowych i licznych konkursach. Dobrze działało harcerstwo. Dzięki szkole radość gościła we wsi. Z pobliskich wycieczek, z boiska sportowego dzieci wracały z piosenką na ustach. W szkole dało się zauważyć prawie rodzinną atmosferę. Nauczyciele przygotowywali występy artystyczne na różne okazje.

W 1979 roku stopień organizacji Szkoły Podstawowej w Karsinie obniżono do 6 klas, a od 1 września 1995 roku podniesiono do 8 klas. I tak było przez dwa lata. Aż w 1997 roku Gminna Rada Narodowa w Postominie podjęła uchwałę o obniżeniu

stopnia organizacji do trzeciej klasy, a następnie o całkowitej likwidacji w 2000 roku.

Urząd Gminy wynajął budynek szkolny firmie wikliniar-skiej, która po trzech latach upadła. Przez rok była szkoła stała pusta. Nowy wójt i radni postanowili w 2004 roku sprzedać budynek na prywatne mieszkania. O szczegółach niech powie wiersz:

*Buki były niskim żywopłotem sadu,
Nikt nie zwracał na nie uwagi,
Korzystały z danej im wolności,
Wyrastały tworząc ścianę zieloności.
Te buki były świadkami dziejów szkoły,
Przyglądały się budowie pawilonu
A potem różom, które przy nich rosły.
Z otwartych okien dolatywał śpiew podniosły.*

*Gromadki dzieci przechodziły tędy,
W zimowe dni nucąc polskie kolędy.
W upalne lato siadały pod bukami,
By zainteresować drzewa swoimi rozmowami.
Te buki świadczyłyby o likwidacji szkoły,
O oporze rodziców, dzieci i nauczycieli.
Widziały wywóz książek, sprzętu i pomocy naukowych,
Pustą szkołę i śmiertelną ciszę,
To wznuszało każdą żywą duszę.*

*A wy, jabłonie, pamiętacie rok 2000, ten ostatni dzwonek,
Wówczas nie był nawet słoneczny dzwonek.*

*Wtedy odszedł na wieki
Dyrektor szkoły, Edmund w wieczny świat daleki.*



W sześćdziesiątych i siedemdziesiątych latach XX wieku w Polsce wybudowano wiele szkół, szczególnie na wsiach – albo na 1000-lecie Państwa Polskiego, albo w modnym wówczas czynie społecznym. Większość z nich została zlikwidowana w następnym dwudziestolecu.

nego w czynie społecznym. Kierownik szkoły, Edmund Paszyk i rodzice podjęli to trudne zadanie w 1968 roku.

A jaka wielka to była trudność przytoczę kilka przykładów. Kierownik szkoły musiał odbyć trzynaście wyjazdów do Koszalina, Sławna, Gminnej Rady Narodowej w Naćmierzu po zezwolenia na materiały budowlane, do gospodarzy po podwozy, żeby sprowadzić tylko 1500 sztuk cegieł na plac budowy. Gospodarze z obwodu szkolnego (Sulemice, Karsino, Dzierżęcina i Kanin) zwozili cegłę, żwir, piasek, wodę i inne materiały budowlane swoimi traktorami i wozami konnymi. Nikt im za to nie płacił. Belki i płyty na stropy sprowadzane były z Drawska, a płytki lastryko z Warszawy-Okęcie. Budowa trwała ponad trzy lata.

Nic dziwnego, że rodzicom znudziła się ta społeczna praca, ale pocieszali się tym, że budują szkołę dla swoich dzieci i wnuków. Zdarzyło się nawet, że gospodarze jednej z wyżej wymienionych wsi uciekli w las, gdy usłyszeli „junaka” kierownika szkoły, jadącego do nich po podwozy w celu przywiezienia piasku. To było przykre wydarzenie.

Powstał nowy pawilon: cztery izby lekcyjne, pracownia prac technicznych, pokój nauczycielski, kancelaria dyrektora, sanitariaty, biblioteka, magazynek i dwa korytarze. Spełniło się marzenie nauczycieli, rodziców i dzieci. Szkoła otrzymała bardzo dobre wyposażenie na owe czasy, prowadziła dożywianie wszystkich dzieci (było ich ok. 120). Praca pozalekcyjna wrzała przez dziesięciolecia. Już w 1955 roku kierownik szkoły założył z dziećmi teatr lalek, z którym jeździli do okolicznych wsi, dając rozrywkę. Wieczorami prowadził teatr z młodzieżą pozaszkolną, oni również dawali swoje występy w okolicznych wsiach. (Nie było telewizji na wsi.) Od 1955 roku



Łzy długo kapwały z waszych liści,
Wiem, bo przeżyłam te ciężkie boleści.
Buki moje miłe,
Pamiętacie tych ludzi z firmy wikliniarskiej
Jak obcinali wam konary w złości
Na ognisko dla swojej przyjemności?
Firma również odeszła,
Zostawiając cię, szkoło w beznadziejności.
W tej porannej absolutnej ciszy
Zjawiał się codziennie gość niesamowity,
Ubrany w czarno-białe pióra,
Na długich, czerwonych nogach.
Przeglądał się w szybie szkoły,
Widział kompana w oknie,
Staczał z nim bój, waląc dziobem i skrzydłami
A następnie zwycięsko klekotał nad nami.
Reneto, ty rośniesz najbliżej
Pamiętasz, staruszko, znowu zjawili się ludzie,
Zwozili, burzyli, rozwalali i przegradzali

I wciąż nieporządek zostawiali.
Buki wysokie i z wami będzie koniec,
Kto spisze historię?

Od września 2000 roku już nie było roześmianych twarzy dziecięcych. Wieś stała się cicha i smutna. Otoczenie szkoły zmieniło się na niekorzyść. Dawniej kwitły róże i inne kwiaty, teraz rosną chwasty i trawy. Pracownicy firmy wykopywali kwiaty, zabierając je na własność. Żal do dziś ściska serca mieszkańców wsi. Budynek podzielono na sześć mieszkań. Niektórzy lokatorzy wykupili mieszkania, niby remontują, ale nie dbają o porządek na zewnątrz.

Ja niechętnie wchodzę do moich sąsiadów, gdyż widzę nie ich mieszkania, tylko dawne klasy i szkolny korytarz ze ścianą wytapetowaną dyplomami, a pod nimi wielki filokaktus z czerwonymi kwiatami. Wtedy to już nie żal, ale ból ściska moje serce i tży cisną się spod powieki.

**Stanisława Paszyk
Karsino**

poetą się jest, a nie bywa

Wydano nawet wiersze ze wszystkich edycji w jednej książce, ale w zbiorze znalazły się jedynie utwory laureatów pierwszych, drugich i trzecich miejsc. Na te, wyróżnione zabrakło już miejsca. Mam tę antologię przed sobą i są w niej ślady słupskie. Oto w 1987 roku jednym z laureatów był Jerzy



Nigdy nie miałem szczęścia do tego konkursu. W edycjach 2001, 2003 i 2005 roku moje wiersze nie zyskały uznania. Aż przyszedł rok 2007 i sukces w postaci wyróżnienia.

Fryckowski z Dębicy Kaszubskiej. W 1997 roku - jego córka Marta Fryckowska (kategoria młodzieżowa), w 2003 roku - znowu Jurek Fryckowski, podobnie Jurek w 2005 roku.

Głównymi bohaterami wakacyjnego spotkania w tym roku byli oczywiście laureaci. Wyboru najlepszych, spośród 445 nadesłanych zestawów wierszy, dokonało jury w składzie: Bolesław Grobelny (Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Ostrze-

szowskiej), dr Wisław Przybyła (filolog, edytor, redaktor naczelny „Ostrzeszowskiej Kroniki Regionalnej”) oraz Krzysztof Szymoniak (dziennikarz, poeta, prozaik).

„Każdy obcy człowiek mówi w obcym języku” – ta rzucona jakby trochę od niechcenia, ale jakże przy tym głęboka myśl jest wierszem i nosi tytuł „Zdanie”. Stworzył je Robert Rutkowski z Łodzi, laureat pierwszej nagrody. Juror B. Grobelny dostrzegł pewne istotne podobieństwo pomiędzy większością biorących udział w tegorocznym konkursie a osobą patrona. Autorzy nadesłanych wierszy pochodzą bowiem głównie z niewielkich miejscowości, z prowincji – tak jak Stanisław Czernik.

Podium przeznaczone dla autorów dorosłych zdominowali łodzianie. Drugi był Piotr Macierzyński, który z pewnością wrył się w pamięć wielu uczestników uroczystości finałowej. Wypowiedziane na granicy płaczu wyznanie, że konkursowe wiersze poświęcił niedawno zmarłej matce, trudno zapomnieć. Pełne dystansu podejście do swojej twórczości zaprezentował z kolei laureat I miejsca – R. Rutkowski. Pozwolił on sobie nawet nie zgodzić się z tezą głoszoną przez samego Cypriana Kamila Norwida, iż „poetą się nie jest, poetą się bywa”. - Uważam jednak, że poetą się jest. Ja nim nie jestem, dlatego poezja jest u mnie przy okazji – dowodził laureat pierwszej nagrody. – Myślę, że u Norwida była non stop.



Spośród młodych adeptów sztuki pisarskiej zapamiętałem 11-letnią Monikę Dudzińską z Międzyrzecza Podlaskiego, laureatkę I nagrody w kategorii: dzieci. Ujęła ona jurorów przede wszystkim wierszem „Ojczyzna”, który zakończyła słowami: „Ojczyzna jest w nas/ Nie ma jej w szumie telewizora”.

Liryczną atmosferę finału budowały nie tylko wiersze od-

czytywane przez laureatów i wyróżnionych, ale także występy dwóch wokalistek. Obie oczarowały zebranych anielskimi głosami i wyjątkową wrażliwością. Marta Brząkała, zwyciężczyni „Ostrzeszowskiego Idola” rodem z Perzowa, jest dopiero na początku drogi do, miejmy nadzieję, wielkiej kariery. Uczyniła kolejny ku temu krok, kwalifikując się do Międzynarodowego Festiwalu im. Anny Jantar we Wrześni.

Druga wokalistka, Dorota Osińska to już gwiazda, przynajmniej w kręgach piosenki poetyckiej. Opieka artystyczna Włodzimierza Korcza daje w jej przypadku znakomite rezultaty. Szczególne wrażenie zrobiły na słuchaczach pieśni w jej wykonaniu związane z osobą Jana Pawła II.

Stanisław Czernik wyniósł Ostrzeszów do rangi liczącego się w Polsce ośrodka myśli literackiej, poetyckiej, krytycznej, znaczącego ośrodka wydawniczego i kulturalnego. - Bez tego patrona nie byłoby konkursu poetyckiego, otwartego na poezję dorosłych, młodzieży i dzieci – mówił B. Grobelny.

Następna edycja (ósma) konkursu ostrzeszowskiego za dwa lata, w roku 2009. Pozbyłem się już do tego konkursu kompleksów, choć marzy mi się teraz, żeby poprawić swoje miejsce i wyróżnienie zamienić na tytuł laureata, tak jak to zrobił już trzykrotnie Jerzy Fryckowski.

Może ze Słupskiego znajdzie się ktoś następny spośród moich koleżanek i kolegów Wtorkowych Spotkań. Osobiście, nie mam nic przeciwko temu.

Na koniec cytuję ze wstępu do pokonkursowej antologii autorstwa dr Wiesława Przybyły: „Iluż to artystów mawiało, że twórca pozostawia po sobie jedno udane zdanie, jeden strzałopiór wiers, jeden znakomity wiersz, może tomik. I to wystarczy, bo pierwszy z brzegu wierszokleta nie daje ad posteritatem literalnie nic”.

Jest się nad czym zastanowić, nieprawdaż?

Grzegorz Chwieduk, Kępice

Leszek Bakuła: ukłón mój przed poetą



Przedstawicielka Domu Kultury z Ustki przyniosła mi informację tej treści: „Zapraszamy 15 września br. na godzinę 18.00, na uroczyste podsumowanie *JV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Leszka Bakuli* „O laur bursztynowej róży”.

Byłem na wszystkich poprzednich podsumowaniach. Najlepsze, w mojej ocenie, było to pierwsze, następne dwa były w nastroju pogrzebowym... Proszę mnie dobrze zrozumieć, ja jestem zwolennikiem tzw. żywotności poetyckiej - ekspresji, iskry, która nie gaśnie. A spotkania te przypominały mi „akademie” z minionej epoki.

Z Leszkiem Bakulą kumplowałem się prywatnie. Dwa lata przed śmiercią spędzał ze mną sporo czasu przy moim straganie na targowisku miejskim w Ustce. Spotykaliśmy się też w jego mieszkaniu. Leszek był „bezpiecznym” człowiekiem przy wódce. Zresztą, cóż to było pół litra z zakąską na dwóch poetów? A ile przy tym było rozmów o poezji?

Pamiętam takie spotkanie, kiedy przyniosłem wiersz, który poświęciłem Stanisławowi Grochowiakowi. Leszek z całą powagą przeczytał go przy straganie, nawet poprawił coś w którymś miejscu. Zatytułowałem ten wiersz „Lubię cię obłoku” i umieściłem m.in. w tomiku pt. „W krainie żebraków słyszę bluesa”.

LUBIĘ CIĘ OBŁOKU

*Jakby chciał wstrzymać ją wagą winogron
Przynieść świeczników drogocennym światłem
(Stanisław Grochowiak)*

*Lubię cię obłoku
kiedy patrzysz na mnie
pośród alej cichych,
że nie tylko kroki moje
chodnik słyszy powracającego
do domu z godzin pracy.*

*Światło słoneczników
pali się w środku -
optymizm krąży
na skrzydełkach ćmy,
a ja jak ten wojownik
wzjeram się w soczysty
smak winogron.*

*Nie tak daleko
od okna pokoju sosna
zawiesza swój cień o ścianę -
myślę o poezji zapomnianej,
o takim poecie - Grochowiaku.*

*Czemu ten nowy świat
nie chce poetów
szlachetnych drogowskazów bez rdzy
- wybiegamy naprzeciw hasłom,
które nie mają nic a nic
z muzyki.*

Dla Leszka Bakuty ten wiersz był ważny, bo znał się dobrze ze Stanisławem Grochowiakiem. Grochowiak był zapomnianym poetą przez władze po roku 1989. A przecież to „klasyk”, mistrz słowa żywego! Wiele mi Leszek o nim opowiadał. Prawdę mówiąc słuchałem, ale mnie najbardziej interesował właśnie On - ustecki poeta. Nieduży człowiek pod względem wzrostu, niezbyt mężny, no i to jego ubranie. Szokowało mnie, bo ubierał się bez gustu i bez dbałości o kolory. Zażartowałem nawet kiedyś, że przygotuję Mu kilka ubrań. Leszek nie zaprotestował. Ja jednak nie dotrzymałem słowa, nie zdążyłem. Zdawało mi się, iż każdy poeta powinien żyć długo!

Wiadomość o Jego śmierci doszła do mnie dopiero, kiedy po pięciomiesięcznym okresie nieobecności wróciłem z Łodzi do Ustki. Był już miesiąc po pogrzebie. Żałuję, że mnie nie było i Leszek umarł w samotności. Umierać w gronie rodziny jest dobrze, ale łatwiej się odchodzi z przekonaniem, że ma się też przyjaciół.

Poeta powinien umierać tak, by inni chcieli czytać strofy, które zaznaczył swoim piórem. Ponadto każdy wiersz jest niczym innym, jak modlitwą.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

przygoda z przemysławem gintrowskim w wiedniu

W tamtym konkursie brał udział także Jacek Kaczmarski i Marek Łyżwa. Pamiętam kawałek melodii i fragment tekstu wykonanego przez tego ostatniego:

*„Jeśli z ziemi wykopimy wielki kamień,
to niech zostanie będzie nam pod głowę.
Przyłożymy ucho posłuchamy co w środku,
szumiąca rzeka i stukot końskich kopyt...”*

Marek Łyżwa zdobył tym prześlicznym utworem trzecie miejsce, a Jacek Kaczmarski – pierwsze. Mnie zdyskwalifikowano - już po wykonaniu konkursowej piosenki, bo w przerwie jury dopatrzyło się, że nie byłem studentem! Finał odbył się wówczas w Krakowie i tam J. Kaczmarski zdobył główną nagrodę.

Przemysław koncertował na początku lat dziewięćdziesiątych w Wiedniu z Piotrem Rąwikiem. Po recitalu zaprosiłem gości do siebie. Tak, tak odezwały się we mnie sentymety. Choćby do okresu młodości, kiedy to w Klubie Studenckim „Remont – Riviera” uczestniczyłem w konkursie Piosenki Studenckiej w Warszawie.



Piszę o tym, bo tak się zdarzyło, że wszyscy znaleźliśmy się na emigracji politycznej w tym samym czasie. Ja wyje-



wiersze najnowsze

Jadwiga Michalak, Naćmierz

„BOŻE, BĄDŹ MIŁOŚCIW MNIE GRZESZNEJ”

Jestem młoda, wypędzona z raju
skazana na cierpienie.
Rozkosz zapłodnienia
daje mi siłę przetrwania
Jestem w stanie błogosławionym.
Rozwiązanie przez cesarskie cięcie
i krzyk nowego życia.
A jakież ono jest?
Dzieci już poszły do szkoły
włączyłam pralkę
zrobiłam zakupy
sprzątam
gotuję zupę na kościach.
A kiedy wracają domownicy:
uśmiecham się ciepłem
domowego ładu i porządku
witam pachnącą strawę
A po obiedzie:
Mąż schowany za gazetą
dzieci odrabiają lekcje.
Zmywam naczynia,
prasuję
pomagam dzieciom w lekcjach
Po latach wielu:
Dzieci się usamodzielnily
mąż zamieszkał z koleżanką z pracy.
A ja nareszcie mogę studiować
na Uniwersytecie Trzeciego Wieku.
Dzięki Bogu rozwijam pasje
litracko-wokalno-instrumentalne
połączone z dzierganiem haftów
pasją czytania
i malowania.
Spełniam swą misję Matki Polki.
„Przywróć mi Panie radość z Twojego
zbawienia
I wzmacnij mnie duchem ofiarnym”...

Anna Karwowska, Dobieszewko

SPĘTANY ŻURAW

To życie stało się nie dla mnie,
Pewnie wymagam zbyt wiele
Potrzebuję dużo szczerości, ciepła
A świat jest za zimny,
Ludzie okrutni, fałszywi
I życie zbyt smutne.
Nie pasuję do tej bajki,
Jestem idealistką,
Nie mogę się przystosować
Do dzisiejszego otoczenia i

Przeżyć własnym uczuciom.
Nie wytrzymuję już, czuję się jak
Spętany żuraw, jak zaszczuty pies.
Co mam robić
Jeśli rok and rol zbyt mocny dla mnie
Już nie potrafię wierzyć w Boga,
A tak mocno wierzyłam, jeśli z
Domu Bożego zrobiono supermarket
I cennik obowiązujący wiernych,
Kapłanem rządzi rozpusta, pieniądź, i
Sprawiedliwość, wiara ponieśli klęskę.
Więc gdzie szukać schronienia?
W polityce? – Zawiodła.
Za co się chwycić?
W co wierzyć?

Edyta Wilga - Mielewczyk, Główny

PACHNĄCA RÓŻA

Matka Boża zna Główny
Przystanęła raz przy płocie...
Lecz jej ludzie nie poznali
Bo nie była cała w złocie!
Miała taką samą suknię
Jak ma moja biedna mama
A przy sukni przy agrafce
Kwiatek drżał jak cienka łątka!
Tylko jedna z Wykosowa
Stara babcia Ją poznała...
Padłszy kornie na kolana
Ślady stóp jej całowała!
Matka Boża zna Główny
Rumsko, Równy i Siodłonie...
Błogosławiając dom zielony
Przed nim kwitły pelargonie!
Gdy będziecie przy gospodzie
To zapalcie ze dwie świece...
Bo tam łatwo można zgubić
Szczęście swoje i swych dzieci!
Lecz zostawmy już gospodę
Kiedy będziesz błądził w pustce...
Patrz uważniej - może spotkasz
Matkę Bożą w biednej chustce!

Andrzej Szczepanik, Bytów

ZADUSZKI

Nadchodzi niezmiennie zmierzch listopadowy.
Wspomnienia winują w jesiennej udręce
Ci, których nie ma przychodzą mi do głowy
Choć jeszcze wczoraj ścisikałem ich ręce.

W pamięci widzę znajome twarze
Smutki, uśmiechy, radości i gesty
Jutro zniczami zapłoną cmentarze

Modlitwy popłynie szept bolesny.

W cmentarną aleję procesja wkroczy.
Smutek wypełni zakamarki duszy
Zmętniałe, żalem wypełnione oczy
Policzą szeregi czarnych kapeluszy.

Z jesiennym deszczem bzy zmieszane
Spadną na białe chryzantemy,
Płomienie świec rozdygotane
Rozjaśnią myśli gdy w życiu toniemy

Wiatr wplącze liście w pochylone głowy,
W geście rozpaczy złożymy dłonie
I modlitewne zaczniemy rozmowy
Schyleni w pokornym ukłonie.

Maciej Michalski, Słupsk

PSALM DLA WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Jesień, czas wystaw dla malarzy
Duchowe uczyty dla estetów.
Czas premier, spotkań, wernisaży,
Nowych tomików u poetów.
Listopadowych oczu śliskich,
Refleksji pełen czas zadumy,
Hołdu u prochów naszych bliskich
Czas naszej narodowej dumy.

Trwamy skupieni, wyciszeni
Śląc niebu światel solidarność,
Żywi i zmarli zjednoczeni,
Marność, już wiemy, wszystko marność.

Oliwia Bartuś, Ustka

JEJ KONIEC

Pewnej zimnej deszczowej nocy
Gdy głośno huczał wiatr
Próbując swym wyciem wystraszyć czas
Ona stała sama na rozdrożu
Czekając na powóz, co zabiera donikąd
Za oknami mrok rozmazał
Łzy tęsknoty bliskich jej osób

Oby tak nie wyglądał jej koniec
Bo samotności w nim morze i pustka
Co duszę żywym ogniem pożera
Niech zgaśnie po prostu
Tulona do snu, jak co wieczór
W ostatnią podróż ciepły dotyk zabierze

Gdy pochłonie ją nicość czy wiesz
Co zostawi za sobą smutek czy śmiech
Kto ją weźmie za rękę
Gdy otuli ją mrok
Czy na nowo powstanie
Czy zmieni się w proch

Noc minęła nagle skończył się sen

Zrozumiała, że jej życie toczy się
Bez sensu bez umiaru bez znaczenia
Wciąż w ramionach czyichś
Chowa się przed światem
Dzisiaj sprawi by jej życie życia było warte
By odchodząc spojrzeć dumnie
Śmierci w oczy

Mieczysław Krymski, Żochowo

CZAS JESIENI

Trzeba zatrzymać się na chwilę
Sjrzeć w twarz jesieni
Podnieś liść by nie zdeptać go
On jeszcze żyje
Tyle w nim piękna
Dawnych wspomnień i czułości

Wczorajsza tęcza
Odbiła w nim swe kolory
Jeszcze pachnie latem
Widać na nim całe życie
Jutro odejdzie bezszelestnie
W zapomnienie

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

ANNO

Nie odpowiesz Księżno Anno
przy którym okienku w zamku
witałaś słońce,
słuchałaś śpiewu ptaków,
przy którym płakałaś
by łez bólu nikt nie widział.
Wojna od wieków ból zadaje
odebrała ci szczęście
to zwyczajne ludzkie
tak każdemu niezbędne.
Miłość jest zawsze wpisana w krzyż.
Ona kosztuje.
Dobry Bóg
cud sprawił
mogłaś cieszyć się synem
jego uśmiech, dotyk, szczebiot
sprawił, że stałaś się Herkulesem.
Obdarta ze złudzeń testamentem męża
uważałaś by nie umarło w Tobie serce
zapłaciłaś wysoką cenę
za jego i swoją wolność.
Płynęłaś w życiu
wiele razy pod prąd.
Wstyd mi własnej słabości.

OSOBLIWE MIASTECZKO

Osobliwe miasteczko ciszy
z marmuru i krzyży
cały rok w kwiatach
i światłach zniczy
Bez dzielnic nazw ulic
tylko kwatery

znak rozpoznawczy
kolejne numery
Zimne rzeźkie powietrze
czepia się więdących liści
ciężko opada ku ziemi
otula najbliższych
Asymetryczna linia nieba
na krzyżach oparta
pokornie czuwa
jak honorowa warta
Tu nawet ptaki
szanują święte miejsce
nie śpiewają
mkną bezszelestnie
Codziennie patrz na świat
ptaki kolory drzewa
łykaj powietrze - żyjesz
jeszcze nie umierasz
Nie płacz więc tyle
zostaw po tamtej stronie
żał smutek i rozpacz
niech śpią spokojnie
Życie to pożyczka
którą trzeba zwrócić
tylko Bóg ma prawo
umarłych obudzić

Jerzy Fryckowski, Dębica Kaszubska

DROGA DO SKARSZEWA

Pies zabrał mnie na spacer drogą do
Skarszewa
Tam gdzie wierzyby jak wdowy zalamują ręce
Bunt owocem granatu w krwi mojej dojrzewał
Że nigdy nie przybiegniesz w zbyt krótkiej
sukiencie

Pies z nosem tuż przy ziemi tropił zapach
zwierząt
Ja stawałem przy sosnach patrząc jak urosły
omijały nas cienie tych co jeszcze wierzą
Którzy szli do kościoła pożegnać się z postem

Potem przyszedł ten starzec czuć go było
moczem
Jękając się zapytał czy może mam ogień
Bo tej zimy pod mostem takie chłodne noce
Wziął pudełko zapalek i rzekł: zostań
z Bogiem

I zostałem na drodze z Bogiem i psem moim
Który skomlał jak nigdy bojąc się obcego
A on kiedy odchodził w moich łzach się dwoił
I nie zostawił śladów w topniejącym śniegu

Emilia Zimnicka, Izbica

MOJA NADJEZIORNA ZIEMIA

Mieszkam nad jeziorem Łebsko
Kocham i podziwiam jego wody, ich
Zmienną barwę, zależną od pory roku

I pogody. Wiatr z północy wieje,
przynosząc rozgłośny huk fal znad
wydm, tu zwanymi „białymi górami”.
W śpiewie wiatru i tym szumie jest powiew
odwiecznej ludzkiej tęsknoty, za czymś
cudnym, a nieosiągalnym. Wieje wiatr
jesienny, chylą się ku ziemi ciemnozielone
zagony trzcin. Wśród nich wynastają kępy olch
i pagórki w których mają łoża lisy,
Postrach miejscowych kur. Gdzieś z wody
pokrzykują mewy, tęsknie zawodzą
żurawie i odlatujące dzikie gęsi. Ziemia
moja, pomorska, jakaś ty piękna.
Żywisz nas i jesteś naszą matką.
Przytuleni do tych lasów i trzcin, żyjemy
trochę pierwotnie mimo talerzy anten
telewizyjnych
na domach i nowoczesnych
samochodów na podwórkach.
Ziemio moja, trwasz w nas spóźnioną
listopadową
stokrotką, wielkim jaworem i dębem,
ożywasz gronami
purpurowej jarzębiny. Serce tej ziemi bije
w dostojnym nurcie Łeby, śródleśnym źródelku
i Człowieku pracowitym i upartym.
Żurawinowe dróżki, kropkami czerwonych
jagód, pełzną w głąb bagien,
odstaniając ich dziką urodę i tajemnicę.

JESTEM JEDNĄ Z WAS

Życie to nie poezja, pieśń, powieść
Może być czasem serialową telenowelą
Jestem jedną z Was, jedną z wielu
Wiem, że nie dorównuję Wam,
mieszkańcom Izbicy
Mądrością, pracowitością
Ale za to darzę Was jednakową taką
ludzką miłością
Cieszę się Waszą radością a troskami smucę
Ten moment otwarcia odnowionej sali
To ważny akt w życiu tej małej wioski
Bo uraca światło, skupienie w jednym miejscu
Młodziem, starszych i dzieci
Dlatego niech Wójtowi, Radnym i
wszystkim
Którzy się do tego przyczynili gwiazda
pomyślności
Świeci
Prognoza na przyszłość... dobro na nowe
Lata
I jeszcze tak skromnie, żeby wywalczyć nam
Autobus w sobotę i niedzielę
Bo zwyczajnie przez dwa dni, co biedniejsi
Są odcięci od świata.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

A GDY PRZESTANĘ..

Ubiierz mnie w kokon obojętności
W pancerz znieczulenia

Bym mogła schować przed bólem
Usnąć nutę zwątpienia

Schowaj mnie gdzieś głęboko
W krainę nieznaną przenieś
Bym mogła z zapomnieniem
Byt dalszy chętniej wieść

Zamknij okno przed wiatrem
Przed głosem zatkaj uszy
Bym mogła spojrzeć najszczerzej
W głąb złknięonej duszy

A potem, jeśli zechcesz
Otrzyj z mojego serca łzę
I oddaj tym, co rozumieją
Oddaj właśnie tego chcę

A gdy przestanę płakać
Pocałuj i przytul cień
Weź pędzel farby maluj
Zmień w kolor życia czern...

Irena Pszekin, Koszalin

NADZIEJA

W potopie życia,
czepiam się ostatniej
deski

- nadziei

Przyszłości bliskich

Wnuków, prawnuków

- Pewno będą kiedyś

Jakie będzie to „kiedyś”
- nie wie nikt

Najwnikliwsza wyobraźnia
Nie daje odpowiedzi

I tylko nadzieja w nadziei
Pozwala żyć

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

PRZYTULIĆ SIĘ DO PODUSZKI

Przytulić się do poduszki,
zgasić dzień miniony o debatach,
które nic nam nie wnoszą –
puste gadki do pustego koszyka,
wiedźma na miotle króluje nad
ptakami,
ciasno na niebie.

Kto jest wrażliwy i rycerski,
zbiera myśli o Polsce,

ile trwać może marzenie o kraju
(miodem i mlekiem płynącym) –
tego nie wie i Pan Bóg
i szlachetne Anioły.

Wiem tylko że za polaną
placze kamień złocisty.

Alicja Skurczyńska, Słupsk

DOBRANOC

dobra noc
śpią zmęczone panny i gazele
pod powiekami niosąc okruchy diamentów
niebo gwiazd kaskadami most do ziemi ściele
głębiny pełne widmowych okrętów

piękna noc
drży powietrze od oparów grzechu
rżące stada ogierów podkowami dudnią
i puszczyk się rozhukał bo jest mu do śmiechu
noc dziećmi hojna co ten świat zaludnia

cudna noc
twe oczy złote kłamią litościwie
uniwersalną mgłą zakrywasz tęczę dnia
kata z ofiarą łączysz sprawiedliwie
cienie gazeli pędzą w paszczę lwa

urocza noc
nieodgadniona jak wyroki losu
snuje się z ciebie marzeń mych odwaga
wpuścisz wciąż ziemię w otchłanie kosmosu
pysznie wyniosła i bezwstydnie naga

dobra noc
odurzające kwiatów aromaty
lustra jeziorne i smukłe dziewanny
snami malujesz pozaziemskie światy
lekkość gazeli i chwilowość panny

Genowefa Gańska, Bytów

MOJA OJCZYZNO

Choć często tu upadałam,
to zawsze się podnosiłam
i ciągle Cię w sercu miałam,
moja kochana Ojczyzno.

Bywały dni takie trudne,
że myśli biegnęły daleko,
do innego kraju obcego,
gdzie dzieci mają wciąż mleko.

Lecz szybko ma myśl wracała
do Ciebie Ojczyzno kochana,
chociaż w rozpaczy sprawdzałam
wszystkie kieszenie co rana,

aby wygrzebać z nich grosik
na chleb dla dzieci i mleko,

gdy w innych krajach się nosi im
pełne torby wszystkiego.

Choć wtedy me serce bolało,
że dzieci tu głodne chodzą
ono zmienić nie chciało
Ciebie za srebro i złoto.

Tutaj wyrosłam w nędzy
i w nędzy mogę umierać.
Nie chcę bogactwa, pieniędzy,
chcę stąd do Boga docierać.

Piotr Grygiel, Jasień

PRZY KOMINKU

Przy kominku są nasze kości
Przy kominku są i zmartwienia
I wysoko strzelają iskry
Z dymem naszego zapomnienia.

A myśli jak drzewa pochodnia
Rozświetlając nam gwieździsty szlak
W oparciu naszego fotela
Płyną do nich na skrzydłach jak ptak.

Jeszcze jedna żagiew się zmieści
Między inne choć proces ten trwa
Spopieli choć drewno już inne
Jednak wewnątrz jasnością wciąż drga.

Snopy iskier wokół się sypią
Wilgotne oczy - płomyki dwa
Cienie nasze jak fortepiany
Gorących serc
orkiestra wciąż gra!

Katarzyna Skwierz, Budowo

SŁOWA

Słowa rodzą się
na papierze,
niczym ptaki,
którym obcięto
skrzydła
(by mogła rozwinąć
skrzydła
wyobraźnia)

Głowa pełna
strof
nabrzmiałych
melodią
poezji

Słowa
sypią się
niczym
płatki kwiatów,
myśli kielkują
w mej głowie

i muszę
je przelać
na papier

Tej nocy bezsennej
piszę kolejny wiersz...

Ale po co, właściwie?

Grzegorz Chwieduk, Kępice

BRONEK

ciekawym z niego egzemplarz:
facet bez wieku
wciśnięty w mocno zużytą marynarkę
zarosnięty jak owczarek puli
(z trudem można poznać
gdzie przód a gdzie tył)

opędza się od ludzkich spojrzeń
niby od tłustych much

denerwuje go egzaltowana głupota
obłuda i sztuczność
(„kiedyś ludzie byli prości
w znaczeniu bardziej naturalni
bez sztucznego uśmiechu i
wyrachowania”)

w ustach żarzy mu się dymny papieros
pali jednego za drugim
aż kłęby dymu
przetaczają się niemiłosiernie
wbrew zakazom

odtrącony pominięty zapomniany
zamartwia się
że to czy tamto
i rozdziela włos na czworo

ma powody

Krysia była tylko na chwilę
sliczna brunetka
której zalety mógł wymieniać godzinami

puściła go jednak w trąbę

stara się teraz zapomnieć o tym
co jest dla niego
jak ten zapodziały gdzieś puzeł:
brak bliskiej osoby
której wygląda niczym kania dżdżu

widok zakochanych szczęśliwych par
nieodmiennie działa na niego
czymś w rodzaju płachty na byka
(„miłość to tylko chemia
hormony i złudzenia”)

Bronek potrafi sobie pomóc:
kiedy to konieczne
włącza techniki medytacyjne

choć tyle mu zostało
z jego buddyźmu

Jan Wanago, Wrześnica

KOCHAM NASZE MIASTO SŁUPSK

Czy Słupsk naprawdę kocham?
Może to wyznanie nieco w treści
zmienię;
Ja Słupsk lubię, szanuję i wysoko cenię.

Nasze miasto Słupsk
Nie będę przeceniał i chwalił zbyt wiele
Współżyję z nim na co dzień, świętuję z
nim w niedzielę,
Nie jest On mi krewny, żaden brat ni swat
I tak z Nim trzymam sztamę 61 lat,
Bo to dobry sąsiad, nie robi krzywdy mi

Szkoda tylko, że rodzaj męski, a nie
odmiennej płci.

Miasto Słupsk kocham, to czuję i słyszę
A że to prawda – tak i napiszę:
Nasz Dostojny Gród Słupsk siódmym
wieku zalicza
A skoro tak, a nie inaczej – to ja Mu tak
życzę:

Chcecie mi wierzyć, chcecie nie wierzyć,
Ale Mu życzę lat tysiąc dwieście,
By był nam domem po wsze czasy wszędzie
Jak tysiąc dwieście mało?
Niech drugie tyle będzie.
A zresztą jeszcze więcej – fakt, ja nie dożyję,
Ale niech dla Słupska kiedyś licznik
milionu wybije!

Życzę Wam również, prócz wierszy i kwiatów
Takich jak dzisiaj tysiąc jubilatów.

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

PORY ROKU

lato zbliża się ku końcowi
a z nieba wciąż pada
mokre pola mokre drzewa
słońce nie nadąża z picciem
słowa ulatują z wiatrem
a życie jak wiatr
jaskółka w locie chwytła muchę
bo małe w gnieździe czekają
czeka jesień na swój czas
owoce w sadzie proszą o zbiór
ludzie proszą Boga o chleb
słońce wypije ostatnie krople wody
przemienie lato jesień i zima
i znowu przyjdzie wiosna i lato
ludzie się zmieniają
lecz pory roku wciąż te same

przygoda z przemysławem gintrowskim w wiedniu (c.d.)

chałem do Austrii, Kaczmarek do Francji, Łyżwa - poprzez „Obóz dla Uchodźców” w Traiskirchen - do RPA.

W Wiedniu przy ulicy Saumegasse, w dwunastej dzielnicy koło Margaretengürtel i linii kolejki miejskiej U4, miałem garsonierę. Gościłem przez bite cztery godziny przybyszów z Warszawy. Przemysław - prawie - się nie zmienił w swej urodzie, a Piotr Rawik miał jeszcze wtedy swoje ciemne włosy i, taki był jeszcze „młodzieńczy”. Umiął słuchać, a my rozgadaliśmy się o emigracji, muzyce, poezji, o Kaczmarce, o Polsce.

Postawiłem winiak, koniak, oczywiście przystawki i gorące jadalne. Towarzystwa dotrzymywał nam mój wiedeński syn, Marcin, który miał wówczas trzy latka. Musiał Marcinkowi spodobać się Przemysław - może ta jego broda - bo ciągle się kręcił koło niego, aż wreszcie Mistrz wziął go na kolana.

Moje cztery gitary wisiły na ścianie. Jedną z nich chciałem podarować Przemysławowi – odmówił takiego prezentu.

A były to gitary przedniej marki: jedna japońska, dwie hiszpańskie i jedna amerykańska. Wszystkie akustyczne. W trakcie popitki zaproponowałem Przemysławowi, by jedną moją autorską piosenkę, a właściwie pieśń, zaaranżował i wziął do swojego repertuaru. Chodziło o utwór „Jak ci pomóc”. Odśpiewałem tę piosenkę przy akompaniamencie gitary. Po jej wykonaniu, Przemysław odpowiedział: „Zygmunt, do jej wykonania trzeba mieć głos”. Chodziło mu o skalę głosu. Myślę, że nie kłamał, bo ma niską skalę z charakterystyczną „chrypą”.

Mistrza Przemysława Gintrowskiego pragnę ugościć ponownie, ale teraz w Ustce. Jest pełnym uroku człowiekiem. Byłoby to kolejne przyjacielskie spotkanie dwojga ludzi, którzy komponują piosenki, piszą teksty, śpiewają i kochają Polskę.

Zygmunt Jan Prusiński
Ustka

moja matura

Zgrabnym, lekkim zrywem przeskoczył nad śmietnikiem i odbiwszy się rękami od metalowej barierki wylądował po drugiej stronie magazynu za sklepem z meblami. Obrął kurs na tory kolejowe. Lekko przyspieszając, wbiegł na żwirowaną dróżkę i nerwowo spojrzął na zegarek. Duża wskazówka zatrzymała się na dwunastce.

Znów się zadumał, pokonując kolejną przeszkodę w postaci odsypiającego pełną koszmarów noc rudego kundla. Co poszło nie tak? Może rzeczywiście nie wziął pod uwagę kilku wypadków losowych, ale z drugiej strony, kto przy zdrowych zmysłach zakłada każdego wieczora przed złożeniem głowy do poduszki, że budzik z niewytłumaczalnych przyczyn może wszcząć bunt i trzeba zabezpieczyć się kilkoma innymi, a najlepiej jeszcze poinformować o konieczności wcześniej-

Wychodząc zza kolejnego zakrętu korytarza niespodziewanie natknął się na dyrektora. Gajewski ścisnął w rękę telefon komórkowy, a minę miał nietęgą. - Błażej? - zapytał, pragnąc się zapewne utwierdzić w przekonaniu, że nie ma przed sobą żadnego widma lecz żywego przedstawiciela nieszczęśliwego uczniowskiego gatunku.

Błażej biegł. Z rękami równomiernie poruszającymi się wzdłuż ciała i sprężystym długim krokiem przypominał mijającego metę maratończyka. Puszczane na wiatr poły czarnej marynarki wydymały się z tyłu, głośno łopocząc wskutek potężnego przyspieszenia. Migały w słońcu wypucowane na błysk lakierki. Nie używał łokci. Z gracją antylopy gnu i

szej pobudki rodziców. Albo, że kierowca autobusu z sobie tylko znanego powodu tego akurat dnia postanowił na przekór wszystkim logicznym uzasadnieniom wyruszyć pod przystanek o kilkanaście sekund wcześniej. Nikt nie jest doskonały. Przecież każdemu zdarzają się takie rzeczy, próbował przekonać sam siebie.

Tuż przed budynkiem szkoły zwolnił, nie chciał, żeby wszyscy widzieli, jaki jest zasapany i zarumieniony. Ktoś mógłby jeszcze pomyśleć, że maturę ma w głębokim poważaniu. Zwłaszcza większość, która zjawiała się przed salą gimnastyczną na dobrą godzinę przed czasem. Bóg świadkiem, że byłby ów ktoś w najwyższym błędzie. Nie każdy lubi dobrowolnie przesiadywać wieczność na krześle przed miejscem tortur i ze stresu zżerać paznokcie.

Trochę przeszkadzała lepiąca się do pleców koszula i zbyt mocno uwiązany przy szyi krawat, ale najważniejsze, że był już na miejscu. Nieco go zdziwiła panująca w progu cisza i jakby kompletna nieobecność kogokolwiek ze zdających. Niejasne podejrzenia wdarty mu się w mózg, który powoli zaczął ogarniać strach. Potknął się na schodkach i musiał zebrać całą przytomność umysłu, żeby nie wyrzucić głową, we framugę. Cisza panowała również wewnątrz budynku, co tylko rozjątrzyło w nim niepokojące uczucie grozy. Do licha! Tego się nie spodziewał.

Wychodząc zza kolejnego zakrętu korytarza niespodziewanie natknął się na dyrektora. Gajewski ścisnął w rękę telefon komórkowy, a minę miał nietęgą.

- Błażej? - zapytał, pragnąc się zapewne utwierdzić w przekonaniu, że nie ma przed sobą żadnego widma lecz żywego przedstawiciela nieszczęśliwego uczniowskiego gatunku.

precyzją geparda, bez najmniejszych otarć, wymijał zaaferowanych przechodniów, zostawiając za sobą tylko zapach ojcowskiej wody kolońskiej i sporej dawki przesyconej obawą adrenaliny.

Wczoraj też biegł. Usiłował sobie przypomnieć między jedną plamą światła na przejściu a drugą, czy powód był równie mierny co dziś. Nie, na pewno nie zasnął. Po prostu pomylił się w obliczeniach. Może się zdarzyć komuś, kto nigdy nie blyszczał na lekcjach pani Dacków.



- Tak, proszę pana - odpowiedział Błażej, licząc po cichu na to, że profesor upewniwszy się co do własnych obaw odepdzie teraz usatysfakcjonowany.

Niestety, przeliczył się...

- Co ty sobie do cholery wyobrazasz? - wyszczał Gajewski, wyraźnie, choć bez powodzenia siłąc się na spokój. - Miałem właśnie do ciebie dzwonić. Ponad stu pięćdziesięciu uczniów na tej cholernej sali czeka już tylko na ciebie! Gdzieś ty u diabła, był?!

Błażej skurczył się trochę w sobie, nie spodziewał się aż tak ostrej reprimendy od spokojnego i zrównoważonego zazwyczaj profesora. Zaraz jednak odzyskał właściwy sobie spokój ducha, a pracujący znów normalnie mózg podpowiedział mu jedyne sensowne rozwiązanie.

- Myślę, że powinienem jednak już iść i...

- No jasne, że tak - nie pozwolił mu skończyć dyrektor Goń, porozmawiamy sobie potem.

Zgodnie z poleceniem Błażej przemknął obok rozeźlonego historyka i dopadłszy drzwi do sali głośno odsapnął.

Drzwi były lekko uchylone, jakby ktoś wewnątrz spodziewał się gościa. To pewnie ja nim jestem, pomyślał z przekorną satysfakcją Błażej, wchodząc lekko zacerwieniony do środka. I zaraz, jakby wejście jego miało stanowić jakiś umówiony wcześniej sygnał, cała sala odetchnęła głęboko jednym wielkim tchnieniem. A zaraz potem rozległo się jeszcze kilka cichszych i bardziej falsetowych westchnień. Komisja, skupiająca się po prawej stronie od wchodzącego nie skomentowała zajścia ani jednym słowem. Tylko pani polonistka wzięła się pod boki i lekko mrużąc oczy powiedziała:

- Jak widzę, panie Błażeju, nawet w dniu matury z języka polskiego nie porzucił pan skłonności do hołdowania własnym tradycjom. W zasadzie, mówiąc szczerze, nawet nie jestem zaskoczona. Oto twoje miejsce - wskazała mu ławkę w pierwszym rzędzie, dokładnie naprzeciwko komisji. - Pani Grażynko - zwróciła się do stojącej obok bibliotekarki - może pani już rozdać arkusze.

Błażej Michalski, Słupsk

życie złamane



Niepowtarzalność ludzkich losów mobilizuje mnie do działania, żeby ludziom jakoś pomagać za próbę zrozumienia tego świata.

Emil Pakulnicki jest postacią arcyciekawą. Ten dystyngowany pan, kojarzy mi się nieodłącznie z samotnym białym orłem. Ma dziś pięćdziesiąt dziewięć lat. Pochodzi z Ustki. Jego (ongis) edukacyjna koncepcja życia i aspiracje, powikłane zostały przez chorobę podstępna i nieuleczalną. Niezdolny do samodzielnej egzystencji - jest pod opieką. W chwilach lepszej kondycji psychicznej szuka zawsze kogoś, żeby podzielić się swoimi przemyśleniami. Nie jest dyktantem w konwersacji. Tak wspomina swoje utarczki z losem, które, za jego zgodą, zanotowałem na taśmie.

- W młodości fascynowała mnie astronomia - ta odległość do gwiazd. Dużo czytałem. Udało mi się zdać egzaminy na Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Myślałem wtedy, że matematyka mi się podda. Ze zdziwieniem stwierdziłem później, że to ja musiałem się poddać. Widać - młodość ma wiele motyk na słońce! Przywiozłem stamtąd tylko do domu ogromny pier-

nik toruński, którego nikt z domowników nie chciał tknąć. Dziś wiem, że to choroba - Belzebub - kopytami wdzierwała się w moje marzenia.

- Przez jakiś czas byłem na wydziale fizyki z chemią w Studium Nauczycielskim w Słupsku. Ciągłe jednak czułem się zmęczony, spałem codziennie do południa. W tzw. międzyczasie, „szlifując chodniki” z kolegami wpadłem na pomysł założenia zespołu muzycznego. To ja byłem pomysłodawcą nazwy „74 Grupa Biednych”. Chodziło mi w niej bardziej o akcent nośny artystycznie, choć w tamtych czasach - pierwsze gitary i sprzęt nagłośnieniowy próbowaliśmy tworzyć własnymi zdolnościami i wysiłkiem.

- Pracując krótko w inwentaryzacji w miejskim handlu detalicznym zauważyłem, że jest tam dużo papieru do pisania. Zacząłem pisać wiersze. Były one często publikowane m.in. w „Dzienniku Ludowym”. Dowiedziałem się też, że



istnieje Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, założony przez Leszka Bakułę (mój nauczyciel historii). W klubie tym poznałem ludzi o podobnych marzeniach. Niektórzy z nich to dzisiejsi członkowie Klubu Poetów (Nie)profesjonalnych w Słupsku...

- Jaką sferę mojego życia by jeszcze poruszyć? Pewnie tę, że chciałem mieć kobietę blisko siebie, ale zwykle były one już z kimś związane. Nie były więc dla mnie. Pomimo swej choroby, próbowałem podejmować jakąkolwiek pracę. Niestety, moja kondycja fizyczna była daleko w tyle, nie dorównywała moim ambicjom. Dziś stwierdzam (również ze zdziwieniem), że chyba nie dość wściekle bił bęben mojego życia, skoro nie stworzyłem wierszy do nowego tomiku o tym tytule.

- Obecnie, jedynym trwałym śladem moich zmagania poetyckich są utrwalone wiersze w antologiach: „Motyle i anioły” (2003 r.); „Wiersze jak chabry w pszenicznym łanie”, (2005) i „Może otulę jesień” (2006) – wszystkie wydane w słupskim starostwie.

Klemens Rudowski
Lubuczewo

Emil Pakulnicki, Ustka

Zasiałem ziarno

*Wzrosło kiedy chciało
Cień niewiadomego przypadku
Przyczyny
Zdruzgotał moje pragnienia i myśli
A ciało do gruntu przenikało zarazą*

*Piszę wiersze
Do kogo ja baję
Bajki ludziom w cierpieniu i trwodze?*

*Nam samotnym jest zawsze okropnie
Gdy smutek pogryza i ducha i ciało
W niezemskiej jakiejś rozpacz nie swojej*

wyrwane pióra aniołów



Kiedy widzi się zniszczone książki, i to książki bliskie sercu, coś w człowieku pęka, zmienia spojrzenie na niektóre sprawy i nasuwa wiele pytań.

To wydarzyło się na przestrzeni dwóch dni. Była środa - spotkanie naszej grupy literackiej. Pracowałem akurat w skupie makulatury w Słupsku. Dzień pracy zacząłem jak zwykle od przebrania się w robocze ciuchy. Poszedłem „na taśmę”, na którą wrzucamy makulaturę. Spędziłem tam pół dnia na jej segregowaniu, gdy nagle trafiłem na najnowszą antologię poezji „Aleja tęsknot” - wydaną przez słupskie starostwo.

Antologia była zniszczona, bez dziesięciu stron i okładki, cała brudna. Zamurowało mnie. Nie wiem, czemu, ale nogi mi nagle zmiękły i nie mogłem się ruszyć. Serce zaczęło walić jak szalone, a oddech zatrzymał się. Teraz żałuję, że „odprowadziłem” książkę wzrokiem, aż do momentu, gdy wpadła do prasy. Nagle moją głowę nawiedziła masa myśli i pytań, których nie byłem w stanie ogarnąć przez kilka godzin. Kto? Dlaczego? Po co? Komu zawadzała?... Przecież książka wyszła w nakładzie 400 egzemplarzy, a 250 z nich trafiło do samych autorów. Próbowałem dojść do tego, kto ją tu przywiózł. Dowiedziałem się jedynie tyle, że wózek znalazł ją w jednym ze śmietników w Słupsku. Bardzo mnie to zabolowało. W końcu tyle osób wkłada wiele wysiłku w to, aby taka antologia ujrzała światło

dzienne, wiele osób, gdy dostaje ją do ręki zaczyna płakać ze szczęścia, a tu taki widok. Zupełnie jakby ktoś obciął mi skrzydła, jakby ktoś zniszczył mój pomnik.

Następnego dnia wciąż miałem przed oczami obraz jednego ze zdjęć pana Jana Maziejuka. Jednak, kiedy zobaczyłem dwa zniszczone „Ślady” najnowszej poezji słupskich literatów spod znaku ZLP – w tym jeden najnowszy, to już mogłem śmiało oszaleć. Zacząłem śmiać się jak opętany, śmiać się z beznadziejności ludzkiej. Można dodać tylko tyle, że „Ślady” rozchodzą się pocztą przyjacielską i nie są nigdzie sprzedawane.

W takim momencie człowiek zastanawia się, czy opłaca się pisać dla innych? I czy w ogóle jest po co pisać? Czy nie lepiej zostawić swoje dzieła w bezpiecznym miejscu, jakim jest szuflada biurka? Można jedynie nad tym dumać i nie poddawać się takim i innym myślom. Osobiście uważam, że trzeba pisać dla innych, ponieważ pisarstwo jest najpiękniejszym wynalazkiem człowieka.

Tomasz „Lisek” Łuczak, Słupsk



przytuliła i pożegnała



*Słońcem opromienie
Twoją – twarz
By – świeciła jasnością...
Blaskiem – opatrzę Twą duszę...
By – nie umarła z miłością...
Jesteś – ptakiem obitym skrzydłami
By – wzbić się ku niebu!
Jesteś – wodą, która żyje
Wśród ludzi wieku!
Jesteś – modlitwą na całe życie...
By – miłość tkwiła w otchłani...
Być – blisko Ciebie
Kochać – to, co zostaje!
Choć – smutek opatrzy serce
Czas pożegnać się teraz
Patrz! Na gwiazdy, którą jestem...
Ona – Ciebie mi sprzeda!
I – nie płacz miła Niewiasto!
Człowiek – jest tylko człowiekiem.
Niech – Bóg! Obejmie Twe serce
I – nie zabraknie już Ciebie!
Jesteś – Matką, która kocha!
I – miłość swą oddała...
Jesteś – Kobieta, która rozumie...
Całości – życie od zaraz!!!*

Ten wiersz poświęciłam mojej ukochanej Babci. Tylko w taki sposób mogłam się z Nią pożegnać, będąc daleko, cztery tysiące kilometrów od domu – w Hiszpanii, w Andaluzji. Układając ten wiersz byłam tak blisko mojej Babci – jakbym na otwarcie ręki mogła poczuć Jej duszę! Gdy człowiek jest daleko i dowiaduje się, że ktoś mu bliski odszedł do świata tajemnicy Boga, wtedy czuje pustkę, smutek i łzy. Lecz ja nie tylko byłam otulona tymi stanami... Otulały mnie jeszcze: wiatr, gorące słońce i pola truskawek. Nie mogłam dojść do siebie i nie mogłam sobie wybaczyć, że jestem daleko i nie mogę ostatni raz pożegnać się z moją Babcią. A była cudowną kobietą. Poświęciła się dzieciom do końca. Z dziadkiem tworzyli przez całe swoje życie wspaniałą rodzinę.

Pamiętam nasze ostatnie spotkanie podczas Świąt Wielkanocnych. Mogliśmy śpiewać piosenki, uśmiechać się i rozmawiać. Gdy skończyły się święta roku 2006, a byliśmy wtedy w Końskich i potem trzeba było się rozstać, pamiętam słowa Babci: „Już odjeżdżacie, żegnam was”... i łzy popłynęły Jej po policzkach. Mocnym uściskiem nas przytuliła i ukochała z całych sił, a na koniec powiedziała: „Jedźcie dzieci z Bogiem, uważajcie w czasie podróży. Wiem, że ostatni raz was już widzę, bo jestem już w tym wieku, że więcej już pewnie nie będziemy mogli się zobaczyć”.

Będąc w Hiszpanii sądziłam, że gdy wrócę do kraju, to z dziećmi odwiedzę jeszcze moją ukochaną Babcię. To stało się już niemożliwe. Zostały mi tylko wspomnienia i smutek w sercu.

Edyta Mielewicz - Wilga, Głównyzyce

*...Kochałem najlichsze dźbło trawy
i człeka co się z losem zmagaa...
(Kasprowicz)*

mogłam się przytulić

Czytałam, płakałam a potem napisałam do niej list i tak zaczęła się moja korespondencyjna znajomość z tą wspaniałą urokliwą dziewczyną. Urok to nie tylko sylwetka i mięśnie, ale przede wszystkim zaleta serca i tym mnie Sonia powaliła na kolana. Jest młodą dziewczyną (teraz 30-letnią) a potrafiła znaleźć temat i sposób na rozmowę z kobietą starszą, od niej o 47 lat.

Od kiedy pamięta jest „przykuta” do wózka, bo choruje na rzadko spotykaną, ale nieuleczalną chorobę: rdzeniowy zanik mięśni. To jest ramka, w której osadził ją Bóg i nie ma lekarza na świecie, który mógłby rozkazać naturze, by stało się inaczej. Jak z tym żyć? Sonia wybrała optymistyczne nastawienie do życia i jest jego bardzo wnikliwym obserwatorem. A myśli nie spętasz, która nawykła do lotu jak ptak, przy ziemi zawsze pętać nie będzie. Wie, więc Sonia na pewno, co w życiu utraciła, czego doświadczyć nie mogła, bo smutek i ból nie jest jej obcy - a przecież nie zgorzkniała. Musiała, na pewno musiała postawić sobie pytanie - dlaczego właśnie ja? Najciekawsze pytania zawsze zostają bez odpowiedzi. Doświadczyła na pewno bolesnych ciekawskich spojrzeń, ale i z tym się uporała. Zaufała Bogu. To najlepsza postawa w życiu. I jej Bóg jest Bogiem miłości. Całkowicie jej nie opuścił, obdarzył wrażliwym sercem, mądrością i talentem twórczym. Sonia jest pełna wiary i cierpliwości, potrafi zanurzyć się w bólu potrzebującego człowieka. Pięknie maluje, rysuje a jej obrazy przemawiają do odbiorcy równie mocno jak słowa. Dostałam od niej w prezencie

*Zebrała się we mnie
ogromna potrzeba napisania
o Soni Tybora z Brzeźna
Szlacheckiego, wreszcie
za jej zgodą odważyłam
się. W moim życiu wiele
dzieje się z przypadku
i to właśnie przypadek
sprawił, że sięgnęłam po „Głos Pomorza”
z 15-17 lipca 2005 roku, a w nim
przeczytałam reportaż o Soni.*



tomik poezji Agnieszki Dul z jej rysunkami „Słowem i obrazem bliżej serca”, a także portret ukrzyżowanej głowy Chrystusa. Sonia w swojej korespondencji zaskakuje mnie niezwykłą dojrzałością życiową i często w moich zawirowaniach życiowych wyprowadza na prostą, w sposób dla siebie właściwy, a dla mnie skuteczny. Lubi żarty, kawały. Znowu przypadek sprawił, że wzięłam do ręki pismo „Moje Miasto” i trafiłam na kącik Soni z humorami, które przesyła do redakcji.

Po prawie dwuletniej korespondencji zapragnęłam poznać Sonię osobiście. To pragnienie zobaczenia, dotknięcia jej było tak silne, że to ja wymogłam na niej to spotkanie.

Połknęłam lek uspokajający, bo od nadmiaru wrażeń dosta-
ję napadowego migotania przedsionków serca i wyruszyłam w
czerwcu br. do Brzeźna Szlacheckiego. Jest to miejscowość na
Kaszubach, położona między Miastkiem a Bytowie. Jadę aleją
wysadzaną lipami, a od Soni wiem, że wieś swoją nazwę za-
wdzięcza chłopom, którzy - jak głosi historia - pomogli Królowi
Janowi Sobieskiemu wygrać w walce z Turkami pod Wiedniem.
Odnajduję dom Soni. Wchodzę. Wita mnie Sonia z mamą, a ja
poczułam się tak, jakbym je znała od dawna. Miłe, sympatycz-
ne, bezpośrednie - nawet piesek Liwia wierny przyjaciel Soni
nie zawarczał na obcego, który wtargnął do ich domu.

Spełniło się moje marzenie - mogłam przytulić się do
Soni. Dla mnie jest ona żywą Ewangelią, z której można czer-
pać siłę „...człowiekiem co się z losem zмага...” w sposób
niezwykle pozytywny i godny.

Sonia ma wielkie szczęście - ma wspaniałą mamę, ma
jej bezgraniczną miłość i oddanie. To głos mamy zwiastuje
wszystko, co najlepsze, uspakaja, uśmierza ból. Dla jej mamy
mam wiele podziwu i szacunku. To mama nosi najcięższe
brzemie od chwili poczęcia dziecka aż do własnej śmierci, bo
właśnie dziecko jest przyczyną jej największej radości i naj-
głębszej rozpacz. Matki wiedzą, ile bólu sprawia najmniejsza
niedyspozycja dziecka: katar, gorączka czy kaszel. Ile hartu, siły
i odwagi wymaga od mamy Soni życie, by stawić czoło wszy-
stkim przeciwnościom. Sonia mieszka w bardzo ładnym domu,
z gracją porusza się na wózku, a do kościółka ma niedaleko.

Czas miłej wizyty bardzo szybko umykał. Żałuję, że
nie zwiedziłam całego Brzeźna Szlacheckiego. Może jeszcze
kiedyś...

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

mieczysław sznejder



Ma 18 lat. Jest uczniem III
klasy Technikum Żywienia i
Gospodarstwa Domowego w
Zespole Szkół Ekonomiczno-Rol-
niczych im. Stanisława Staszica w Bytowie.
W wolnym czasie lubi gotować, słucha dużo
muzyki, czasem też pisze wiersze. (z)

OTCHŁAŃ

Patrzę przed siebie i nic nie widzę,
Odwracam się do tyłu, a za plecami śmierć czyha...
Tak kusi, nie daje za wygraną
I to chyba ona zwycięży
Bezpowrotnie utraciłem paletę najcenniejszych barw.
Złamane nie, lecz zawiedzione na samym sobie
Serce, które chce przestać bić.
Niech duch uleci ku niebios bram,
A już czekać będą tam sędziowie...
Osądzą, werdykt wydadzą
I odeślą mego ducha tam
Gdzie kończy się ludzkie pojęcie



Sandra Tyrek
Drzewo

POLITYKA

W polityce źle się dzieje,
Wyrośli tu sami złodzieje.
Prostych ludzi oszukują,
Lepszej Polski nie zbudują.

beata kosicka

Mieszka w małej wsi Krężołki. Kocha wiersze.
Poezja jest w niej od zawsze. Cieszy się, gdy jej
wiersze sprawiają innym radość, wnoszą świa-
tło, nadzieję, dobroć i miłość. (z)

PRAGNĘ ŻYĆ

Pragnę żyć!... Upić się miłością jak winem.
Szaleć tak, z głową w gwiazdach
- aż po świt!
Ach, to nic, że wśród gwiazd zginę
Pozostanie po mnie barwny mit.

Spętam noc! Za włosy ją pochwycę
rzucę gdzieś, dotychczasowy pech.
Pędzić chcę! Dogonić błyskawicę,
by wyrzucić z serca ten smutek i gniew.

Usta twe – przy sobie już zatrzymam.
Dłonie twe – niech obejmują mnie.
Prawdziwa miłość – podobna jest do wina,
Im słodsza jest, tym bardziej pić się chce!

Choć wiele obiecali
To dzisiaj nic nie dali.
„Lepsze czasy, lepsza praca...”
Powiedział jak miał kaca.

Może za lat kilka,
Człowiek nie zmieni się w wilka.
Lecz będzie porządny, uczciwy
A nie jak dziś – leniwy.